

Resortowe dziecko

(najgorszego sortu)

Krzysztof Topolski

Resortowe dziecko

(najgorszego sortu)



RESORTOWE DZIECKO

WYDANIE PIERWSZE,

ISBN 978-83-66915-86-2

© **Krzysztof Topolski i Wydawnictwo Agrafka 2022**

REDAKCJA I KOREKTA

Anna Jakubek

SKŁAD I ŁAMANIE

Teresa Witkowska

OKŁADKA

Krzysztof Fabrowski

DRUK I OPRAWA

Partner Poligrafia

WYDAWCA

Wydawnictwo Agrafka

ul. Macierzankowa 15; 64-514 Przeclaw

e-mail: *wydawnictwo.agrafka@gmail.com*

www.wydawnictwoagrafka.pl

Występują (m.in.):

Józef Blass, Marek Borowski, Andrzej Brycht, Zbigniew Bujak, Henryk Dasko, Henryk Goryszewski, „Che Guevara”, Ludwik Hass, Lee Iacocca, Zbigniew Janas, Krystyna Janda, Lech Kaczyński, Ryszard Kalisz, Jan Paweł II, Józef Kępa, prof. Michał Kleiber, Jacek Kuroń, Aleksander Kwaśniewski, Jan Lityński, Antoni Macierewicz, Adam Michnik, płk. Omelan, gen. Marek Papała, prof. Zygmunt Saloni, prof. Adam Schaff, Barbara Toruńczyk, Julian Tuwim, Magda Umer, Janusz Weiss, Andrzej Woyciechowski, prof. Jerzy Woźnicki, Maciej Zembaty.

A także: *agenci służb tajnych Kanady i Wielkiej Brytanii, szejkowie syberyjscy, chasydzi, dyplomaci, oszuści, esbecy, milicjanci, milionerzy, więźniowie i aresztanci, syjoniści i antysemita, przyszli członkowie Czerwonych Brygad, gangsterzy, mafiozi oraz liczne zwierzęta (m.in. psy: Zak, Bubel, liczne koty i papug o imieniu Mecenasa).*

Główne lokalizacje (alfabetycznie):

Batumi, Barrie, Jamajka, Miami, Morze Śródziemne, Moskwa, Nowojabrowsk (Syberia), Nowy Jork, Olandia (Szwecja), Romany, Rzym, Saint Lucia, Strzelce Opolskie, Sztokholm, Szczytno, Toronto, Warszawa, Wiedeń.

Miejsca akcji (alfabetycznie):

ambasady, areszty milicyjne, izba wytrzeźwień, karcery, Klub Poszukiwaczy Sprzeczności, pałace, pięciogwiazdkowe apartamenty hotelowe, plaże, salon kosmetyczny „Sharley”, salony samochodowe, teatry, tory wyścigowe, więzienia.

• • •

Takie sobie podsumowanie twojej osoby przygotowałem: „Topolski i Topperman, Żyd, Kanadyjczyk i Polak. Ochrzczony, nieobrzezany, ale po dwukrotnej bar micwie. Więzień Gomułki i kanadyjski milioner. Zajadły wróg PiS-u i czuły obserwator. Kabareciarz, tekściarz, fraszkopisarz. Bankrut i filantrop. Pryncypialny do bólu, ale i niepohamowany kawalarz. Podobno praprawnuk cadyka z Ukrainy”.

Wszystko prawda.

Ale to oznacza, że jesteś kłębkim sprzeczności. Uosobieniem antynomii. Nie ma rady - musimy rozwiązać to, zaczynając od samego porządku. Jakie są twoje pierwsze wspomnienia z dzieciństwa?

Budowa placu Konstytucji. Mieszkaliśmy wtedy na Lwowskiej. Lato roku 1952. Mam pięć lat i kilka miesięcy. Jestem z moją starszą siostrą i opiekunką-gospożą na spacerze. Widzimy, że rozwalają ówczesną zabudowę ulicy Marszałkowskiej. I gospośnia mówi: „To tu aż taka szeroka ulica będzie?”. Pamiętam te słowa, ten moment dokładnie.



Krzyś Topolski – połowa lat 50. – w wersji czupurnej



Pokorny (wyjątkowo) Krzyś z siostrą Marysią



Szczęśliwa rodzinka Topolskich, rok 1947 lub 1948

A pierwsze wspomnienie związane z rodzicami?

To też jeszcze z Lwowskiej, gdzie mieszkaliśmy od 1950 do końca 1952 (potem przenieśliśmy się na Solariego – to mała uliczka od Filtrowej, niedaleko NIK-u, gdzie mieszkaliśmy już do końca). Z Lwowskiej pamiętam jeszcze gabinet ojca...

To musiało być dość prominenckie mieszkanie!

Owszem, jak na tamte czasy. Był gabinet ojca, była jadalnia stanowiąca zarazem salon, pokój mojej siostry i mój, sypialnia rodziców i klitka do spania dla służącej. Przedwojenna kamienica – niezburzona ani w trakcie, ani po powstaniu. Jak w 1988 roku Rakowski pierwszy raz po prawie dwudziestu latach emigracji zaprosił mnie do Polski, odwiedziłem to mieszkanie, które opuściłem, mając pięć lat, to na Lwowskiej. Odnalazłem je, zadzwoniłem... Lokatorzy na początku byli przestraszeni, że przyszedłem, by im ich mieszkanie odebrać, ale zapewniłem, że chcę tylko je sobie przypomnieć. Ale nie było już takie, jak kiedyś. Podzielono je, wykorzystując to, że miało – jak to kiedyś zawsze było – dwa wejścia: frontowe i tzw. kuchenne.

Ale wróćmy do wspomnień o rodzicach.

Pamiętam więc ten gabinet ojca, a w nim biurko – zawsze to samo. Nad wersalką wisiał obraz – ten

sam, który teraz wisi w salonie w moim warszawskim mieszkaniu, bo ojciec wziął go ze sobą, kiedy wyjechał na emigrację. Pamiętam też idealny porządek w tym gabinecie. Absolutny!

Ojciec był pedantem?

Okropnym, perfekcyjnym pedantem. Takim samym jest mój syn, Jerzyk, a właściwie Jerry. Widać to idzie co drugie pokolenie. Na biurku ojca gazeta (oczywiście „Trybuna Ludu”) musiała zawsze leżeć z milimetrową precyzją w rogu, dokładnie po dwa



To tych dwóch łobuzów przyłapał dozorca na nielegalnym paleniu papierosów: na pierwszym planie – Adaś Pietrusiewicz, na drugim – Krzysztof Topolski

centymetry od każdej z krawędzi. Już kiedy byłem starszy, nie mogłem się opanować, żeby przed powrotem taty do domu nie przesunąć trochę tej gazety, by zburzyć ten nieludzki wręcz porządek. Kiedy ojciec wchodził, obrzucał cały gabinet wzrokiem, a potem w całym domu słychać było, jak gwałtownie wciąga powietrze, wydając z siebie dźwięk „Yyyy!”. Podchodził do biurka, poprawiał gazetę i dopiero wtedy się uspokajał.

A mama?

Ten sam czas na Lwowskiej. Jesteśmy w jadalni, ja jej włożę na kolana, prosząc o dodatkową porcję deseru – kisielu.

Wtedy kisiele robiło się samemu w domu, nie z torebki kupionej w sklepie. Z mąką ziemniaczaną. Były pyszne. Ale co do rodziców: jakieś pierwsze wspomnienia „merytoryczne”. Może jakaś draka? To się najlepiej pamięta...

Proszę bardzo. Na Solariego mieszkał nad nami minister Pietrusiewicz z synem Adamem, moim rówieśnikiem i kolegą z klasy przez całe 11 lat ówczesnej szkoły. I właśnie Adama i mnie – byliśmy chyba w pierwszej lub drugiej klasie – dorwał dozorca na paleniu papierosów...

Jakich?

No jak to jakich? „Giewontów”! Mama je paliła, więc te jej podkradłem. „Giewonty” – 4 złote 60 groszy za 20 sztuk. Po donosie dozorca mama wezwała mnie na rozmowę. Leżała jak w teatrze na zabytkowej półkozetce z zimnym okładem na głowie. Nigdy, dodam, nie miała żadnych migren i nie przykładła sobie nic na głowę. No spektakl po prostu. Poprosiła, żebym przysunął do niej krzesło. Kiedy usiadłem, odezwała się: „Krzysiu, dowiedziałam się wszystkiego... Z pracy mnie może nie wyrzucą, ale z partii na pewno tak”.

Zapamiętałem tę scenę, bo właśnie wtedy pierwszy raz w mojej głowie pojawiło się podejrzenie, że moja matka może mijać się z prawdą. Wcześniej każde słowo jej, ojca, czy w ogóle każdego dorosłego, było po prostu święte i tyle.

Ale to tylko incydenty. Z partii (wtedy!) jej oczywiście nie wyrzucono. Mama zresztą zawsze była lewicowa, ale nie komunistka jak ojciec. On już przed wojną działał w nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, mama wtedy, też we Lwowie, należała jedynie do organizacji pomagającej więźniom politycznym – Czerwonej Pomocy, czyli MOPR (Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom).

Po wojnie była lekarzem, hematologiem, asystentką prof. Sławomira Pawelskiego, który wraz z żoną był jednym z najbliższych przyjaciół naszej rodziny. Pawelscy – obydwój w AK i powstańcy warszawskiego. A moi rodzice – tata ideowy komunista i dygnitarz reżimu, mama partyjna. No ale najbliżsi przyjaciele – polityka nie była ważna między nimi. Mama, jak mnie wsadzili, przerwała habilitację, którą robiła wtedy w Londynie. Natychmiast wróciła. Nigdy już nie miała możliwości, okazji ani czasu jej zrobić.

Warto tu zacytować słowa twojej mamy z jej i twojej, wspólnie, rozmowy z Joanną Podgórką z „Polityki”, bo to ważne dla ich, a więc i twojej biografii:

Oboje pochodziliście z żydowskich rodzin. W waszych domach kultywowało się tradycję?

Pola Topolska: Moja rodzina była całkowicie zasymilowana. Mówiło się po polsku. Nikt nie znał jidysz ani hebrajskiego. Ojciec był oficerem w legionach Piłsudskiego. Pracował jako adwokat. Mama zajmowała się domem. Moim wujkiem był znany historyk, prof. Majer Bałaban. Przyjaciele rodziców też byli całkowicie zasymilowaną inteligencją. Spotykali się ze Stanisławem i Adamem Ulamami. Byli zaprzyjaźnieni z rodziną Lemów. Ja też próbowałam zakolegować się z ich synem,

ale Staś nie znosił dziewczynek. To był trochę dziwak. Pamiętam – kiedyś przyszliśmy na jego urodziny, obejrzał prezent, powiedział, że bardzo mu się podoba, w związku z czym dziękuje i możemy już iść. W naszym środowisku nie obchodziło się żydowskich świąt, nie jadło koszernie.

Krzysztof Topolski: Rodzina taty też była całkowicie zasymilowana, ale chyba jakaś szczątkowa tradycja tam przetrwała, bo opowiadał, że w piątek wieczorem szli z kolegami kupować sobie szynkę, żeby zbuntować się na raz żydowskiemu zakazowi jedzenia wieprzowiny i katolickiemu obowiązkowi postzczenia.



Ślubne, szczęśliwie zachowane zdjęcie Poli i Ferdka Topolskich, Lwów

Braliście ślub pod hupą, w synagodze?

PT: A skąd! Zwykły cywilny ślub w urzędzie.

(...)

Mąż działał w Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, Pani w Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom. Co panienkę z dobrego, bogatego domu uwiodło w tej idei?

PT: Ja się nie urwałam z choinki. W moim domu zawsze żywe były lewicowe tendencje. Rodzice mieli socjalistyczne poglądy, a ja, jak to nastolatka, chciałam być bardziej radykalna od nich. A co mnie uwiodło? Swoboda, wiara w postęp. Chcieliśmy zmieniać świat, pozbywać się starych, skostniałych obyczajów. Widzieliśmy niesprawiedliwość i potworne nierówności społeczne. Moja organizacja była legalna. Przede wszystkim zbieraliśmy pieniądze na wsparcie dla działaczy. Trochę to była dziecinada. Pamiętam, jak kiedyś z koleżanką – panienki z dobrych domów – poszłyśmy kwestować. Czułyśmy się jak rewolucjonistki, ale na wszelki wypadek zwracałyśmy po datki tylko do znajomych. I jeden z nich pyta: „A dużo musicie zebrać tych pieniędzy?”. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, ale powiedziałam, że 50 złotych. To było wtedy dużo. I ten znajomy mówi: „To teraz idźcie

do domu, a ja wam wieczorem dam te pieniądze”. I jeszcze próbował nas odprowadzić. Strasznie byliśmy obrażone, bo chciałyśmy, żeby nas traktowano jak poważne rewolucjonistki. Ja się trochę bawiłam w komunizm, ale Fryderyk traktował to ze śmiertelną powagą. Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy była organizacją nielegalną, a jego ojciec nie miał pojęcia, że u nich w domu działa zakonspirowana drukarnia.

Czy w tamtych latach, we Lwowie, doświadczyła Pani przejawów antysemityzmu?

PT: Z powodu *numerus clausus* nie mogłam studiować medycyny, dopóki nie nastąpiła okupacja radziecka. Potem co prawda zdałam za pierwszym razem, ale większy problem był z tym, że jestem kobietą, a nie, że jestem z żydowskiej rodziny. Było nas na roku kilka dziewczyn, profesorowie traktowali nas lekceważąco i żeby udowodnić, że się nadajemy, musiałyśmy być lepsze od chłopców. Poza *numerus clausus* nie czułam antysemityzmu we Lwowie. W szkole przyjaźniłam się i z Polkami, i z Żydówkami, choć to głównie te żydowskie przyjaźnie przetrwały. W lekcjach religii, oczywiście katolickiej, Polki brały czynny udział, a myśmy tylko siedziały. Ale to nie było przykre, nikt nie robił nieprzyjemnych uwag. Nawet nam się to podobało, że mamy

godzinę spokoju. Na ulicach też nie doświadczaliśmy agresji. Myśmy byli niebrzydkie dziewczyny. Nula, siostra mojego męża, była jedną z najpiękniejszych Lwówianek. A endecy mieli hasło: „Precz z Żydami, a Żydówki z nami”. Chłopczy mieli gorzej.

Mąż padał ofiarą przemocy?

PT: Jego nie zaczepiali. On był wysokim blondynem. A do tego silnym. Ale jego koledzy, owszem, byli atakowani przez endeckie bojówki, a on bardzo chętnie wdawał się w bójki w ich obronie. Lubił to.

KT: Tata opowiadał, że często musiał się bić za Ludwika Hassa. To był drobny, niski facet, idealna ofiara dla endecków. Jak przychodziło co do czego, ojciec się za niego lał. Jego historia jest bardzo ciekawa, bo w 1939 r., gdy Lwów zajęli Rosjanie, zgłosił się do władz radzieckich z prośbą o udostępnienie dzieł wszystkich Lwa Trockiego, bo chce się osobiście przekonać, na czym polega to słynne trocki-stowskie odchylenie. Następnego dnia był już w drodze na Sybir. Puścili go dopiero w 1956 r. Rok później w KC było jakieś spotkanie, związane z rocznicą KPZU. Pojawił się tam prof. Hass, wszedł na mównicę i powiedział: „Towarzysze, cieszę się, że znów jestem wśród was, ale nie możemy zapominać o towarzyszach, którzy ciągle jeszcze są w obozach w Związku Radzieckim”. Tata ściągnął

go z tej mównicy i spytał: „Znowu mam się za ciebie bić? Ale tym razem to już pójdziemy do pierdła”. Pamiętam, że to się skończyło u nas w domu, gdzie wszyscy się strasznie popili.

Gdy działaliście w organizacjach komunistycznych, w powietrzu wisiała już wojna. Zdawaliście sobie z tego sprawę?

PT: Nie wiem, jak inni. Ja zupełnie. Wybuch wojny zastał nas w Dąbrowie Górniczej, gdzie mąż był zatrudniony jako inżynier. Pewnego dnia wrócił z pracy i powiedział, że bardzo się spieszy, bo musi się zgłosić do wojska. Ja pojechałam do Lwowa. On potem też tam dotarł. W 1941 r., gdy zaczęły się bombardowania, ludzie ruszyli na wschód. Niektórzy wychodzili z miasta, tak jak stali. Mnie udało się spakować jakiś plecak, ale kompletnie bez głowy. Zabrałam ślubną garsonkę i ulubione pantofelki na wysokim obcasie, bo mi ich było szkoda zostawić. (...) Wsiedliśmy do pociągu, który miał nas ewakuować do Kijowa. Dalej szło się pieszo albo jechało furmankami. Było bardzo ciężko. Nie było gdzie spać, brakowało jedzenia. Lwowskie buciki bardzo szybko się zdarły.

KT: Rodziców wtedy rozdzielono. Ojca cofnęli z powrotem do Lwowa, bo zapadła decyzja, że miasto będzie bronione. To, że spotkali się ponownie, było jak

trafienie szóstki w totolotka. Co więcej, potem w Taszkencie spotkali swoich najbliższych lwowskich przyjaciół, Blassów. Mama wyskoczyła w biegu z tramwaju, bo zobaczyła na ulicy Judytę Blass.

PT: Męża spotkałam na ulicy w Mariupolu, gdy go prowadzono jako aresztanta. Wzięto go za szpiega, bo był ubrany w pumpy. Myśmy wyglądali inaczej niż ludzie radzieccy. Ale Rosjanie nam pomagali. Sąsiadki widziały, że kompletnie nie radzimy sobie z takimi rzeczami, jak pranie czy gotowanie, bo nigdy tego nie robiłyśmy. A o praniu za pomocą drewnianej kijanki to nawet w życiu nie słyszałam. Żadna z nas nie umiała ugotować zupy. Rosyjskie sąsiadki dyskretnie pokazywały nam, jak się do tego zabrać. Małpując sąsiadkę zabrałam się za gotowanie zupy. Nawrzucałam do niej wszystko, co było; jakiś groch, fasolę. Dumna z siebie podałam zupę mężowi. Zjadł. Ale wcześniej ostentacyjnie się przeżegnał i powiedział, że zjedzenie tej zupy to jego największy dowód miłości do mnie, bo prawdopodobnie tego nie przeżyje. Byliśmy młodzi, durni i naiwni. Dzięki temu udało się nam przetrwać ten ciężki czas.

RACZKUJĄCY REWIZJONISTA

A jaki był twój kontakt z ojcem?

Przez całe lata mojego dzieciństwa i młodości – niewielki. Bo on był osobnikiem potwornie pracowitym. Dzień w dzień szedł do pracy na 9:00, wracał o 19:00 (tylko w soboty wyjątkowo wcześniej, bo już o 17:00). Jadł kolację i już o 19:30 siadał do roboty z gigantyczną stertą papierów. Tak może ze dwa razy w roku żądał dzienniczka z moimi szkolnymi stopniami, a ja raczej nie byłem dobrym uczniem. Jeśli piątki miałem, a i to już raczej później, to tylko z polskiego, historii, języków. Matmę na maturze zdałem tylko dzięki przyjaźni z Jurkiem Woźnickim, późniejszym dwukrotnym rektorem Politechniki Warszawskiej.

No i po tej lekturze tata robił się wściekły. „Co to jest, gówniarzu?!”. I dostawałem jakąś karę, na przykład zakaz wychodzenia z domu... przez dwa lata. Zapomniany niemal natychmiast. Ale nauczył też mnie i Maryskę, moją starszą siostrę, pływać,

a nawet nurkować. Czasem, ponieważ był wysportowany i silny jak byk, zabierał mnie na Wisłę, gdzie pod prąd płynął łodzią wiosłową, tzw. hamburgerką, nawet kilka kilometrów. A wakacje, które spędzaliśmy razem, były fantastyczne. Byliśmy jednymi z pierwszych w Polsce prawdziwych turystów – z namiotami. No i mieliśmy niedostępną dla większości możliwość wyjazdu za granicę, w dodatku na paszportach dyplomatycznych. Tata miał pierdolca na punkcie zabytków i muzeów; wiedział o nich chyba wszystko. Co zresztą bywało bardzo męczące.

Pamiętam podróż do Włoch, gdzie w jednym z rzymskich kościołów tłumaczył mi – dziewięcioletkowi! – kunszt obrazu „Uzdrowienie szaleńca”



Ojciec był wszechstronnie wysportowany – wiosła, pływanie, nurkowanie, tyżwy (tu z mamą)

Angela de Rossiego. Ale generalnie kontakt z nim był wtedy fantastyczny. Jeździliśmy na te wakacje jego służbowym samochodem (najpierw warszawą, potem wołgą, a na końcu peugeotem 404). Ojciec był zapalonym kierowcą, choć to, że nie miał wypadków, zakrawało nieomal na cud. Mama zresztą twierdziła, że wszędzie powinny stać znaki drogowe z literą „F”, które mówiłyby, że „Fredek zawsze i wszędzie ma absolutne pierwszeństwo”. Auto było luksusem, ale na tym nasze „przywileje władzy” się kończyły. Spaliśmy pod namiotami, przerzucając się z miasta do miasta, mając w kieszeni jedynie kilka dolarów przynależnego „kieszonkowego” i bazując na tym, co zabraliśmy ze sobą do jedzenia z Polski. Czasem tylko fundowaliśmy sobie lody. Ale coca-coli przez te wszystkie lata napiłem się tylko jeden jedyny raz, bo tata machnął ręką, choć był głęboko przekonany, że to jest „kapitalistyczne gówno”.

Nie potrafię się pohamować, by nie dodać tu jeszcze jednego fragmentu z cytowanej już rozmowy z Joanną Podgórką:

Pola Topolska: Tylko, że te wyjazdy były trochę dziadowskie, bo dawali niewiele waluty. Brało się maszynkę do gotowania i konserwy, żeby zaoszczędzić.

Krzysztof Topolski: Ale bywało wesoło. Będąc w Wiedniu, zamieszkaliśmy w hotelu Edynburg, chyba najgorszym w okolicy, nawet bez bieżącej wody. Obok był o oczko lepszy hotel Golden Lamm, czyli Złoty Baranek. Ojciec, żeby nie było wstydu, powiedział, że kierowca z ambasady ma po niego podjechać pod Baranka. Kierowca przyjechał za wcześnie, dowiedział się, że nas tam nie ma i poszedł do Edynburga zapytać, czy mieszka tu minister, Herr Topolski. Pamiętam dokładnie tę scenę – ojciec w kalesonach, ja nad miednicą polewałem mu ręce wodą z dzbanka, wchodzi recepcjonistka i trzęsącym głosem oznajmia: „Ekscelencjo, samochód zjechał”.

PT: Innym razem płynęliśmy statkiem z Dubrownika do Włoch, też z paszportami dyplomatycznymi. Mieliśmy czwartą klasę, bo najtańszą, i nagle wzywają, że mister Topolski proszony jest do stołu kapitańskiego, a mąż w jakichś połatanych spodniach, bo to był skromny człowiek i nie przywiązywał wagi do takich rzeczy. Ja też nie prezentowałam się najlepiej. W panice szukaliśmy w walizkach jakichś lepszych ubrań. Potem, jak mąż z kapitanem trochę popili, doszli do wniosku, że są rodakami, bo obaj urodzili się pod panowaniem Franciszka Józefa – mąż we Lwowie, a kapitan w Trieście, czyli wtedy też w Austro-Węgrzech.

Grecja, Jugosławia, Austria, Włochy... Co jeszcze?

No Rosja. Jedna z późniejszych podróży, bo miałem już piętnaście lat, ale dla mnie ważna, gdyż właśnie tam załamała się moja wiara w komunizm. Wcześniej bowiem, jak to dziecko, byłem wpatrzony w ojca jak w święty obrazek. Tymczasem po powrocie byłem już raczej rewizjonistą. A właśnie powstawał Klub Michnika...

Czyli Klub Poszukiwaczy Sprzeczności! Ale co takiego stało się w Kraju Rad?

Byliśmy najpierw w Moskwie, na zaproszenie gen. Miłowskiego, szefa zaopatrzenia frontu podczas wojny, który nie tylko ojcu podczas pracy nad uruchomieniem przemysłu węglowego w Polsce zaraz po wojnie bardzo pomagał – wbrew sowieckim interesom na przykład nie pozwalał na rabowanie przez Rosjan maszyn, które były niezbędne dla polskiego przemysłu. A kiedy nas zaprosił, był komendantem jakiejś ichniej akademii wojskowej w Leningradzie. Poleciliśmy na własny koszt do Moskwy i Leningradu, a potem jeszcze pojechaliśmy do Tbilisi i nad Morze Czarne, gdzie ulokowano nas w domu wypoczynkowym dla marszałków i generałów sowieckich. Nawet dziś jeszcze trudno mi uwierzyć, ale marszałkowie jedli tam na innej, lepszej zastawie stołowej niż generałowie, nawet czterogwiazdkowi. Ot, taki detal... Ale to nie koniec.

Jako już rozbudzony piętnastolatek poderwałem tam córkę ogrodnika w tym ośrodku, Gruzina, przepiękną dziewczynę. A właściwie to zakochałem się w niej w trzy minuty. No i pewnego dnia jesteśmy o dziewiątej wieczorem gdzieś na mieście,jemy lody, aż tu zatrzymuje nas milicja. I legitymuje. Ja mam przy sobie *propusk*, z którego wynika, że mieszkam w „domu marszałków”. Ona jest tylko córką „człowieka pracy”. Mnie odwożą do domu marszałków z wielką atencją, a ona jest zatrzymana i przesłuchiwana. Wypuszczają ją dopiero rano następnego dnia. Piętnastolatkę! Kraj dyktatury proletariatu, prawda?

Było jeszcze kilka innych takich – wstrząsających wtedy mną – sytuacji. No i wróciłem do Polski z głębokim przekonaniem, że coś w tym systemie jest bardzo nie tak. Choć ciągle jeszcze z nadzieją, że to się wszystko da naprawić.

To jeszcze twoje słowa z cytowanej już rozmowy z „Polityką” o tym samym pobycie w ZSRR:

(...) Zaprosił mnie na daczę rok ode mnie młodszy syn generała, dowódcy Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego. To był 1962 r. Przyleciał po nas, dwóch gówniarzy, samolot, żeby nas na tę daczę dostarczyć. Gdy poszliśmy na spacer, synowi generała zginął pies.

Zawiadomiono milicję. Pamiętam jak dziś scenę, gdy milicjant salutuje czternastoletniemu gnojkwowi i trzęsącym się głosem, ze łzami w oczach tłumaczy się, że nie udało się jeszcze znaleźć *sobaki*.

Podczas tego wyjazdu zaproszono też naszą rodzinę na admiralską motorówkę. Gdy wysiadaliśmy, mama nadziała się okiem na jakąś belkę. Założyli jej opatrunek i następnego dnia jechaliśmy pociągiem do Tbilisi. Tata jak zwykle w pocerowanych spodniach, ja z Marysią też w jakichś łachach. Pociąg dymił, opaska zrobiła się czarna po paru godzinach, więc mama wyglądała jak pirat. Dojeżdżamy do Tbilisi, patrzę przez okno, a tam na peronie leży czerwony dywan, stoi kompania honorowa i orkiestra. Mówię do taty, że pewnie ktoś ważny przyjechał. Okazało się, że to myśmy przyjechali. Wyglądając jak grupa włóczęgów, szliśmy po czerwonym dywanie, a orkiestra grała nam Międzynarodówkę i polski hymn. Żołnierze mieli naprawdę dziwne miny. Im się wtedy coś pomyliło i myśleli, że przyjeżdża wiceminister obrony. Wtedy też po raz pierwszy piłem wódkę z moim ojcem. Podjęto nas w przedrewolucyjnej willi, prowadzonej przez dawną właścicielkę. Stół zastawiony wódką i wszelkimi możliwymi zakąskami. Ojciec powiedział: zobaczmy gówniarzu, czy jesteś mężczyzną. Napijesz się z radzieckimi oficerami. No i się napiłem.

Kiedy ci przeszło całkiem? Pytam oczywiście o komunizowanie, nie o alkohol!

Tak do końca to chyba dopiero po agresji na Czechosłowację i podczas mojego procesu „marcowego”, we wrześniu 1968.

Zanim dojdziemy do Marca... Bywałeś bity w domu?

Nigdy. Owszem, przy wejściu do pokoju dziecięcego wisiała na ścianie dyscyplina, taki pęk splecionych skórzanych rzemieni, ale nigdy nie była użyta. Nigdy. Choć przyznam, że się jej bałem. Ale moi rodzice byli chyba prekursorami wychowywania bez żadnej przemocy... Wróć! Raz jeden faktycznie oberwałem od ojca. I to potężnie, ciosem sierpowym, który odrzucił mnie chyba na trzy metry. Ale to była specyficzna sytuacja. Otóż kiedyś, już jako szesnastolatek, wróciłem do domu późnym wieczorem z kolejnego spotkania Klubu Michnika, na którym była mowa o Katyniu. Wracając, jeszcze gdzieś się upiłem i wpadłem do sypialni rodziców, już leżących w łóżku, oskarżając ojca o to, że jest osobiście odpowiedzialny za mord katyński. No i on wtedy nie wytrzymał...

Chodziłeś do normalnej szkoły?

No raczej do prominenckiej – Gottwald.

**Nie było tam też „zwykłych” dzieci? Same promi-
nenckie?**

Były, oczywiście.

**No właśnie. Czyli chyba ta prominenckość wynika-
ła raczej z jej „geograficznego” usytuowania – w re-
jonie Warszawy, gdzie mieszkało wielu członków
nomenklatury.**

Tak, ale na przykład rodzice Janka Gedego, którego ojciec, Tadeusz, był wtedy PRL-owskim dyplomatą wysokiego szczebla, choć mieszkali dalej, to też wysłali go do Gottwalda. W przecięt-
nie czterdziestoosobowych klasach jakieś dziesięć osób to były dzieci prominenckie. Ale nie było między nimi a resztą żadnych różnic. Ja sam na przykład pierwszy garnitur dostałem dopiero na maturę. Nigdy nie miałem dżinsów – 1200 złotych na bazarze! Mogłem tylko o nich marzyć. Co prawda na wakacjach w Jugosławii tata i mama zdecydowali, wiedząc o moich marzeniach, że mi je kupią. I kupili. Ale nazywały się „super-rifle” i były tamtejszą podróbką.

**Czyli nie byłeś traktowany jak raróg czy szpaner,
kiedy wracałeś z tych swoich kolejnych egzotycz-
nych wakacji?**

Nie. Choć pamiętam, że kiedy po włoskich wakacjach opowiadałem o nich Jurkowi Woźnickiemu, to gdy jeszcze na koniec dodałem, że jest tam w dodatku nieprawdopodobnie piękna pogoda, on nie wytrzymał i piekielnie się wkurzył.

POSZUKIWACZ SPRZECZNOŚCI

Wspomniałeś o „Klubie Michnika”, czyli Klubie Poszukiwaczy Sprzeczności. Jak tam trafiłeś? Właśnie dzięki szkolnym znajomościom?

To było po wakacjach 1962 roku. Które, o czym już mówiłem, spędziłem w Związku Radzieckim i z których wróciłem z głębokim przekonaniem, że coś w tym jest chujowego. Jeszcze nie, że do całkowitej likwidacji, ale już, że do bardzo głębokiej naprawy. No że nie tak myślał Marks...

Bo skądinąd, cokolwiek by się o Marksie nie sądziło, to faktycznie na pewno tak nie myślał...

Ha, ha... No faktycznie, zgoda. To, co zrobił Lenin i inni, z Marksem miało mało wspólnego... Ale to moje myślenie idealnie trafiło na chwilę, kiedy ten klub Michnika powstawał, czyli na wrzesień '62. Należeli do niego ludzie z kilku, może z pięciu, czy maksymalnie dziesięciu, szkół w Warszawie, m.in. Rejtana, Gottvalda (czyli dzisiejszego Staszica), Żmichowskiej...

Wiekowo przede wszystkim urodzeni mniej więcej w 1946 roku. Ja wtedy byłem w przedostatniej klasie licealnej. Pierwsze skrzypce grał oczywiście Michnik, ale w ważności rywalizował z nim Józek Blass, o którym jeszcze tu nie raz będę chciał mówić. Ważnymi postaciami byli też: starszy o dwa lata ode mnie Włodek Koffman (dziś astrofizyk we Francji) i Sewek Blumsztajn. No i dziewczyny! Piękne i mądre! Basia Toruńczyk! Irka Grudzińska! Lusja Holzman!

Ale to chyba Adam Michnik powiedział mi, żebym przyszedł na pierwsze spotkanie. Adama znałem wcześniej, gdyż znali się nasi rodzice, choć o matce Adama miałem już niezbyt entuzjastyczną opinię, bo bardzo interesując się historią, musiałem uczyć się z jej podręczników do historii pełnych analiz klasowych przy każdej możliwej i niemożliwej sytuacji.

Adam wynajął – nie wiem jak, ale on wszystko potrafił załatwić – salę na Starym Mieście, w której wcześniej działał Klub Krzywego Koła. I poszło błyskiem – na początku byliśmy noszeni na rękach przez partię, ale już po pół roku partia się wkurwiła, a po półtora roku nas rozwiązali, włącznie z wezwaniami do kuratorium. Cyrk.

Ten Klub był dla ciebie ważny? Rozwijający? Inspirowający?

Bardzo! Niezwykle się dzięki niemu rozwinąłem. To był taki kop intelektualny. Choć szedłem... wszyscy chyba jeszcze wtedy szliśmy... torem „naprawiania socjalizmu”. Owszem, dziś niektórzy twierdzą, że już wtedy wiedzieli, że nie tędy droga, ale ja im nie wierzę.

Przede wszystkim jednak Klub to była grupa cholernie inteligentnej młodzieży, sam „top” intelektualny. W dodatku wielu z jego członków, ja też, czytało „Biuletyn Specjalny PAP” – zawierający informacje i przedruki z prasy światowej, dostępne tylko dla nomenklatury PZPR najwyższego szczebla, więc wiedzieli znacznie więcej niż przeciętny Kowalski.

Krótko potem większość ludzi z klubu, starszych ode mnie o rok czy dwa lata, poszła na studia na uniwersytet. A ja chwilę potem na Politechnikę – przekonany przez ojca, że „mężczyzna to musi mieć zawód” – na inżynierię budowlaną. Skończyłem jednak tylko pierwszy rok, a dwa następne spędziłem na urlopiach dziekańskich. Ale nie leniłem się. Może trochę pod wpływem właśnie Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności, zbudowałem na polibudzie, potem w całej Warszawie, a wreszcie w całej Polsce SOD-y, czyli Studenckie Ośrodki Dyskusyjne. Wychodziłem z założenia, że trzeba zrobić coś z faktem, że na Politechnikę

przychodzili w dużych ilościach młodzi z prowincji, którzy nigdy nie byli w teatrze, niewiele czytali, nawet z gazet, i potem wracają tam gdzieś do siebie nadal z zerową wiedzą ogólną.

Czapkę dla tego ruchu, no bo czapka oczywiście musiała być, stanowiło porozumienie ZMS z ZMW i ZSP. Ale jak można się było spodziewać, dość szybko te spotkania i dyskusje, choć formalnie byliśmy bardzo w porządku, zaczęły iść „w złą stronę”. Szczególnie po słynnym wystąpieniu Leszka Kołakowskiego na spotkaniu w 10-lecie Października '56 na Uniwersytecie Warszawskim, gdy mówił o zmarnowanej dekadzie.

W zasadzie nie zajmowaliśmy się żadną polityką, lecz kłopotów generowało się stopniowo coraz więcej. I coraz mniej władzy podobali się nasi prelegenci, i to, o czym mówili studentom. Bywały z tym zresztą bardzo śmieszne sytuacje. Takie na przykład jak prelekcja Zbigniewa Sołuby z „Polityki”, który właśnie wrócił z Chin. Zaprosiliśmy go więc, żeby nam opowiedział o rewolucji kulturalnej, o której wtedy prawie nic nie wiedziano, a budziła ogromne zainteresowanie. Przyszło tak wielu studentów na to spotkanie w akademiku przy placu Narutowicza, że szpilki nie można było wcisnąć. Co skądinąd było zasługą faktu, że wszystkie chyba akademiki

polibudy połączone były kablowo jednym radiowęzłem (bardzo mi to się przydało w Marcu, ale to osobna historia, do której jeszcze dojdę).

Co prawda sam na tym spotkaniu nie byłem, ale dwóch naocznych świadków – w tym ówczesny szef tego klubu, Stasio Kwitkiewicz – opowiadali mi, że pojawił się też Antoni Macierewicz, przyprawiając ze sobą dwóch ludzi... z ambasady chińskiej. A ci przytargali ze sobą dwie walizki. I kiedy po prelekcji Sołuby miały zacząć się pytania, otworzyli te walizy i zaczęli rozdawać „Czerwone książeczki”...

Przypomnijmy może, że „Czerwona książeczka” to przyjęta głównie w Europie nazwa „Wyjątków z dzieł” Przewodniczącego Komunistycznej Partii Chin, Mao Tse-Tunga – ponad 400 cytatów w poręcznym formacie A6, w sam raz do kieszeni, bo Chińczycy mieli ją stale studiować, a nawet uczyć się jej na pamięć. Poczynając od 1964 roku, w samych tylko Chinach wydano ją w miliardzie egzemplarzy. Ale Chińczycy drukowali je i tłumaczyli chyba na prawie wszystkie języki świata.

No i właśnie na to arcydzieło wszyscy obecni się rzucili, bo któż nie chciałby mieć tego słynnego już druku. Dzięki temu bezpieka – której funkcjonariusze przecież oczywiście też byli obecni, podobnie jak na wszystkich

innych spotkaniach SOD-ów – uznała, że my to spotkanie zrobiliśmy tylko po to, by rozdawać myśli Mao, na którego już patrzono bardzo krzywo, choć oficjalnie nadal był to nasz komunistyczny sojusznik.

Dowiedziałem się, choć dopiero na początku lat 90., dzięki komisji Rokity, że zaczęły nas wtedy inwigilować dwa departamenty MSW – ten od prawicowego odchylenia i ten od lewicowego. Co skończyło się likwidacją SOD-ów.

Skądinąd zabawne, że tenże Sołuba uchodził za moczarowca i był ponoć nawet szykowany na nowego naczelnego „Polityki”. Rakowski jednak się obronił i Sołuba na pocieszenie dostał naczalstwo „Expresu Wieczornego”... Ale, ale... zdaje się, że pomogliście znacząco w tej likwidacji SOD-ów, idąc na spotkanie z Kępą – sekretarzem Komitetu Warszawskiego PZPR...

A i owszem. Po tym słynnym wykładzie Kołakowskiego na 10-lecie Października, po którym wyrzucono go z PZPR, poszliśmy do Kępy jako działacze SOD-ów. Kępa był chyba nawet zachwycony, że porozmawia z taką aktywną, obiecującą młodzieżą. Miał nas za zaufanych towarzyszy. Tymczasem my rzuciliśmy mu swoje legitymacje ZMS-owskie. Dostał szału!

Ciekawostka: to spotkanie z nim odbyło się w tej samej sali przy Rynku Starego Miasta, gdzie kiedyś działał Klub Krzywego Koła, a potem spotykał się Klub Michnika.